

ANTTI TUOMAINEN



MAŁA
SYBERIA

NAWET TAM, GDZIE ŚCISKA MRÓZ,
MOŻE BYĆ BARDZO GORĄCO.

ALBATROS

Tytuł oryginału:
PIKKU SIPERIA

Copyright © Antti Tuomainen 2018
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Bożena Kojro 2022

Redakcja: Joanna Popiołek

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: SaveJungle/Shutterstock (*kościół*);
rawpixel.com/Freepik (*drzewa*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

PROLOG

CIEPŁA WÓDKA KOSKENKORVA ROZRYWA wargi, wznieca pożar w gardle. Kontrolowany poślizg odbywa się jednak bez zakłóceń i samochód wychodzi z zakrętu niemal z tą samą prędkością, z którą w niego wjechał.

Mężczyzna zdejmuje prawą rękę z kierownicy, zmienia bieg, zerka na prędkościomierz. Trochę ponad sto trzydzieści. Jak na zimowe warunki to znakomita prędkość, szczególnie na tej śliskiej i krętej drodze po wschodniej stronie Hurmevaary. Zwłaszcza że w nocy widoczność jest ograniczona. Mimo jasno świecących gwiazd.

Lewa stopa znów wciska sprzęgło, a prawa dociska gaz do dechy. Kierowca unosi butelkę i upija z niej trochę.

Tak się pije koskenkorwę. Najpierw rozlewający się po wargach duży łyk – pełen żaru niczym meteor – po którym masz wrażenie, że za chwilę wylecą zęby, a potem malutki, który lekko zwilża język, jak wódczane jedwabne muśnięcie gaszące pożar i pomagające przełknąć pierwszą, główną, porcję.

A tak się prowadzi samochód.

Mężczyzna podejżdża do łagodnie wznoszącego się długiego pagórka, zakręcającego w prawo, który zdradliwie wydaje się łatwy do pokonania. Na pierwszy rzut oka można by sądzić, że wystarczy tylko utrzymać samochód w prostej linii i gnać do przodu. Ale nie. Powierzchnia drogi opada w lewą stronę i im szybciej się po niej jedzie, tym bardziej chce zrzucić jeźdźca ze swojego grzbietu. Mężczyzna ściska kierownicę, zdając sobie sprawę, że prędkość wynosi teraz prawie sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jak w klasie mistrzów świata. On dobrze o tym wie i ta świadomość sprawia mu ból.

Po prawej stronie ciągnie się pokryte lodem wielkie jezioro Hurmejärvi. Są tam zatknięte chorągiewki, którymi rybacy oznaczają przeręble i sieci na sielawy. Jadąc tą trasą, mężczyzna zerka czasami w bok, ponieważ chorągiewki z daleka przypominają mu proporczyki kibiców. Tej nocy nie tęskni za nimi.

Trzyma kierownicę skręconą o milimetr na prawo, korygując nachylenie drogi. Widząc nowy zakręt, zaczyna hamować silnikiem. To oznacza dokładne zgranie nóg i rąk, idealną współpracę stopy wciskającej sprzęgło i dłoni zmieniającej biegi. Mężczyzna wkłada butelkę między uda, lewą rękę trzyma na kierownicy, a prawą chwyta drążek zmiany biegów, wciska go i przesuwają, a potem dodaje gazu. Człowiek panuje nad samochodem, wykorzystując jego własną siłę. Pedał hamulca jest dla amatorów, na przykład tych, od których pożyczył ten pojazd.

Po krótkiej równej prostej auto dociera do podnóża pagórka z podwójnym szczytem. Kierowca czuje pieczenie

w brzuchu.

Ale to nie koskenkorva, tylko przeznaczenie.

Mężczyzna wyciska z samochodu, ile tylko się da. Wymaga to całkowitego panowania nad audi i sytuacją. Pedał gazu nie można tak po prostu wciskać do oporu. Jeżeli się to robi, pojazd może wypaść z trasy.

Przy prędkości stu osiemdziesięciu, z jaką teraz jedzie, samochód przebiłby ciągnący się po prawej i lewej stronie śnieżny wał, a potem przeokoziółkował kilka razy i wylądował na dachu. Zakładając, że kierowca miałby szczęście. Jeżeli nie miałby i lekko by się zawahał, auto wpadłoby prosto w gęsty świerkowy las i owinęłoby się wokół zamrożonego pnia prawie metrowej grubości niczym papier do pakowania prezentów.

Mężczyzna nie wierzy w szczęście. Wierzy w odpowiednią prędkość w odpowiednich warunkach.

Zwłaszcza teraz, gdy wszystko się kończy. I to on o tym decyduje.

Kiedy audi wjeżdża na szczyt pagórka, licznik pokazuje niemal dwieście kilometrów na godzinę. Stamtąd samochód wylatuje w powietrze. Najpierw kierowca przystawia butelkę do ust. To wymaga takiej samej dokładności jak prowadzenie pojazdu. Lewa ręka manewruje butelką pewnie i swobodnie. Podczas gdy samochód szybkuje mroźną nocą, koskenkorva płynie strumieniem. Język płonie słodkim ogniem, a półtorej tony stali, aluminium, wyjącego silnika i nowych nabijanych świekami opon posłusznie mknie do przodu.

Audi leci długo i daleko. Ląduje w tej samej chwili, w której butelka wraca na swoje miejsce, czyli między uda.

Kierowca redukuje bieg, przyśpiesza i znów wrzuca wyższy. Jazda w dół po zboczach, potem przez chwilę po równym terenie i ponownie do góry na szczyt. I nowy lot. Kierowca zerka na jarzący się czerwienią licznik i lśniącą szklaną butelkę. Prędkościomierz wskazuje dwieście, a w butelce zostało niecałe sto mililitrów. Gdy ćwieki w oponach zaczynają uderzać w szosę, terkocząc jak karabin maszynowy, mężczyzna uśmiecha się na tyle, na ile pozwalają mu spalone alkoholem wargi.

On jest w świetnej formie. Ci, którzy go wygnali, będą tego żałować. Został pomówiony, wyrzucony poza nawias, być może umrze, ale na własnych warunkach, przez co wzniesie się ponad wszystko i wszystkich. Dotrze tam i przejedzie obok, machając do tych, którzy poruszają się wolniej od niego.

Ta myśl jest silna i gorąca. Płonie w jego głowie jak wódka w gardle.

Kierowca pociąga z butelki i opróżnia ją.

Ostatnia prosta, audi wyje.

Mężczyzna otwiera okno, mięśnie sztywnieją mu z zimna, oczy wilgotnieją. Wyrzuca butelkę w zaspę.

Przed nim jeszcze kawałek, a na końcu skrzyżowanie w kształcie litery T. Lecz on nie zamierza skręcać. Jedzie prosto na skałę znajdującą się za skrzyżowaniem.

Maksymalna prędkość zależy od kierowcy. O tym się nie mówi, podaje się tylko jakąś liczbę przy konkretnej marce samochodu. A to są przecież bzdury.

Mężczyzna sprawdza wskazanie prędkościomierza. Dwieście czterdzieści. Tyle osiąga samochód, który przy

dwustu dwudziestu pięciu powinien stanąć.

Zerka na drogę, ostatni kilometr. Ostatni w życiu.

Tak to się kończy, myśli i wtedy samochód eksploduje.

Kierowca czuje to w całym ciele. I w ułamku sekundy widzi, że przez świat przebiega wielka smuga światła, za którą podąża równie wielki cień. Zarówno światło, jak i cień poruszają się pionowo, z góry na dół. Serce mężczyzny zatrzymuje się, a potem znów zaczyna bić, łomocze potężnymi, gorącymi uderzeniami, jakby ktoś kuł żelazo. Zmysły, wszystkie pięć, wystrzają się i zachowują w taki sposób, w jaki wcześniej tego nie doświadczył. Widzi, że dach samochodu się rozrywa, w ustach ma dziwny smak elastycznego materiału wypełniającego fotele, czuje falę uderzeniową rozrywającą dłonie. Początkowo słyszy wszystkie dźwięki, a gdy uszy mu się zatykają, eksplozja rozlega się w jego głowie.

Mężczyzna działa instynktownie. Wrzuca niższy bieg, wciska sprzęgło, gaz i hamulec. Hamuje silnikiem, hamulcem ręcznym, wykonuje kontrolowany ślizg. Samochód wtacza się na skrzyżowanie i staje.

Kierowca nie ma pojęcia, jak długo trwa w bezruchu. Może minutę, może dwie. Nie jest w stanie nic zrobić. Gdy odzyskuje siły i udaje mu się oderwać dłonie od kierownicy i się rozejrzeć, nie rozumie, co się stało.

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że w dachu samochodu po stronie pasażera pojawiła się dziura. Lecz podobna znajduje się też w fotelu. Otwór w poszyciu dachowym ma zapewne średnicę około czterdziestu centymetrów. Dziura w fotelu jest tylko trochę mniejsza. Mężczyzna gratuluje sobie

w duchu, że pił alkohol. Inaczej nie mógłby przyglądać się temu spokojnie.

Odpina pas bezpieczeństwa i znów nieruchomieje na chwilę. Czuje, że jeszcze raz musi przeanalizować podstawowe fakty. Otwór w dachu, dziura w siedzeniu, on sam. Dziury są tuż obok.

Mężczyzna wysiada z samochodu i obraca się kilka razy. Niekończące się zasy py śnieżne, mroźny nocny krajobraz oświetlony jasnym blaskiem księżyca i gwiazd. Obchodzi samochód, śnieg skrzypi pod jego butami rajdowymi. Dziura w dachu przypomina wywinięte odwrotnie usta przygotowane do pocałunku. Otwiera drzwi pojazdu. Tak, postrzępione wargi blachy całują środek samochodu. Otwór w siedzeniu pasażera prowadzi w głąb i wygląda lubieżnie. Mężczyzna zerka do środka. Jest czarny. Z tego można wysnuć dwa wnioski. Podłoga auta nie została uszkodzona, bo wtedy widać by było przez nią śnieg. Cokolwiek zrobiło tę dziurę, musiało przebić dach i siedzenie, a potem się zatrzymało.

Kierowca cofa się, śnieg skrzypi, serce wali jak młot.

Gotował się na śmierć, ale coś się wydarzyło i jednak żyje.

Właśnie w tej chwili odbywa się rajd w Monte Carlo. Są tam ludzie, porządny alkohol, w samochodach nie robią się dziury, nic na nie nie spada...

Z nieba.

Mężczyzna patrzy w górę. Oczywiście niczego tam nie widać. Na niebie rzadko coś widać. Wyjąwszy gwiazdy i księżyc, no i słońce, które pojawi się za kilka miesięcy. Chmury. Samoloty, ale nie...

On kieruje się rozsądkiem, oczywiście, że nie ma żadnego UFO.

Potem przypomina sobie pewien program telewizyjny. Zderzenie komety z Ziemią to tylko kwestia czasu – tak w nim mówiono. A zderzenie komety z Ziemią oznacza nową epokę lodowcową, ponieważ wzniecone tym pyły zakryją słońce. Wszyscy umrą.

Oczywiście poza nim.

Trudno jednak uwierzyć, aby znajdujący się pół metra na zachód od spadającej komety człowiek ocalał, a inni ludzie zginęli. Chociaż nikt nie daje znaku życia, to mężczyzna jest przekonany, że ktoś we wsi Hurmevaara je teraz kanapkę z kiełbasą.

Czyli kometa nie wchodzi w grę.

Choć musi to być coś podobnego. Nie przypomina sobie jednak odpowiedniego słowa, a poza tym jest mu zimno. Wódka i myśl o śmierci już go nie grzeją.

Zwykle ma telefon w zamykanej na suwak kieszeni kombinezonu, ale tym razem jest ona pusta. Przecież pojechał na śmierć, a nie po to, by dzwonić. Nagle uświadamia sobie, że jest nieźle ululany.

Gdzie może być najbliższy dom?

Teraz sobie przypomina.

W odległości trzech kilometrów. Ale tam nigdy nie wróci. A następny dom jest o kilometr dalej.

Mężczyzna rusza przed siebie. Po kilkuset metrach zatrzymuje się, bierze w dłonie trochę śniegu i przeciera twarz. Czuje, że jest mu to potrzebne. Śnieżna kąpiel sprawia ból – palce marzną, twarz sztywnieje – ale także oczyszcza.

W szczególny i istotny sposób. Mężczyzna znów rusza i znów się zatrzymuje.

Odwraca się, spogląda na samochód, a potem na niebo.

Co tam jest?

CZĘŚĆ I

NIEBO SPADA NA GŁOWĘ

1

– WIESZ, CO SIĘ WTEDY STANIE?

Odkąd pracuję jako pastor w małej parafii Hurmevaara – dzisiaj mija rok i siedem miesięcy – ten sam mężczyzna, z tego czy innego powodu, zapisuje się na rozmowę ze mną zawsze, gdy się zwolni termin. Zaznacza też, że chce się spotkać właśnie ze mną, pastorem Joelem Huhtą. Nadal nie wiem, jaka jest tego przyczyna.

Porada duchowa dotyczy ciągle tego samego, zmienia się jedynie podejście do tematu.

Mężczyzna drapie się po policzku pokrytym nierównomiernym zarostem, niekiedy tak ciemnym i grubym, że palce nie mogą się przez niego przebić. Oczy ma niebieskie i jasne, ale pozbawione radości. Nie budzi to zdziwienia, jeśli weźmie się pod uwagę powtarzający się ze spotkania na spotkanie temat rozmowy.

– Nie potrafię zbyt dobrze prognozować – mówię.

Mężczyzna kiwa głową.

– Ale ONZ potrafi – oświadcza. – Czytałem ostatnią prognozę demograficzną. Na świecie jest teraz prawie siedem i sześć dziesiątych miliarda ludzi. W dwa tysiące trzydziestym roku, który jest tuż za pasem, ma być osiem i pół miliarda. W połowie stulecia liczba ludności na całej kuli ziemskiej wyniesie dziewięć i siedem dziesiątych miliarda. A pod koniec stulecia, hokus-pokus, jedenaście i dwie dziesiąte miliarda. I to jest tak zwana mediana. Pewnie zapytasz: I co się wtedy stanie?

Milczę. W budynku parafii zalega cisza. Znajdujemy się w jego północno-wschodniej części, w pokoju z dwoma dużymi oknami zasłoniętymi żaluzjami. Jest popołudnie i nawet bez wyglądania na zewnątrz wiem, że panuje ciemność i pada obficie śnieg. Późne nadejście zimy i niezamarznięte jezioro Hurmejärvi sprawiły, że jeszcze niedawno zaczynałem wątpić, czy właściwie odczytuję kalendarz. Pokój jest ascetycznie urządony, z niskim stołem i grubymi dywanami, ma niemal japoński wystrój. Oczywiście my siedzimy na krzesłach, jedyne w tym dwudziestometrowym pomieszczeniu.

– I co się wtedy stanie – kontynuuje mężczyzna bezbarwnym i pozbawionym radości jak jego oczy głosem – gdy będzie nas w Finlandii tyle samo co teraz, czyli pięć i pół miliona? A może nawet mniej. Liczba ludności w Afryce zwiększy się pod koniec stulecia czterokrotnie. Teraz ludzi jest tam trochę ponad miliard, a na koniec dwudziestego pierwszego wieku będzie cztery i pół miliarda. Czyli cztery razy więcej. Tymczasem wody i jedzenia coraz bardziej ubywa. Czy ludzie zamierzają czekać, aż nastanie większy

głód i zabraknie wody pitnej? W Afryce kobiety rodzą średnio po pięcioro dzieci. Załóżmy, że jedno z nich powie, że już wystarczy. Że ma dosyć głodu, biedy, wojny, suszy. Jedno z pięciorga zdecyduje się poszukać życia na lepszych terenach. Załóżmy, że z przyczyn naturalnych będzie ich mniej i wyruszy tylko co dziesiąta osoba. Załóżmy, że dalej dotrze tylko jedna na dwadzieścia osób. Może nawet mniej. Niech będzie. Weźmy trochę dłuższy przedział czasowy, powiedzmy, do końca wieku, żeby uwzględnić więcej pokoleń. I zmniejszmy liczbę tych, którzy dotrą żywi do Europy. Na tym etapie niech ich będzie choćby dwa i pół procent z tych czterech i pół miliarda. Jak myślisz, o jakiej liczbie ludzi mówimy? To jest sto dwanaście i pół miliona. I gdzie ich pomieścimy? Gdzie osiądą? W jakich warunkach? Kto się na to zgodzi? To jest kryzys migracyjny z dwa tysiące piętnastego roku pomnożony przez sto dwanaście. To oczywiście zaniżona liczba, ponieważ nie bierzemy pod uwagę tego, że ludzie będą się rodzić i umierać w milionach albo miliardach przez ten okres referencyjny. To tylko wynik na tę chwilę, te cztery i pół miliarda. Po drodze wiele będzie się działo, jak świadczy historia, a przyszłość pokaże. Ludzie zawsze się rodzili, umierali i ruszali przed siebie. Robili dzieci. Boże dary.

Mężczyzna patrzy mi w oczy. Myślę sobie, że przecież on nie może wiedzieć. Oczywiście, że nie. Nikomu nie powiedziałem. Nikomu.

– Pan Bóg wie, że zawsze robiłem, co do mnie należało. Jeszcze przed rozwodem. Ale to nie ma z tym związku. Jestem inżynierem i matematyka to moje hobby. Ja nie śnię

na jawie. Nie wyobrażam sobie niczego. Nie potrafię. Robię wyliczenia. I każde z nich udowadnia, że świat się kończy.

Niemal codziennie o tej godzinie, myślę sobie.

– A jeśli żyjemy na świecie – mówi dalej mężczyzna – który, jak świadczą o tym dowody i fakty, się skończy, i to wkrótce, wtedy... Nie ma żadnej nadziei.

Nie wiem, dlaczego ten człowiek przychodzi właśnie do mnie. Jednym z powodów może być to, że po prostu chce, abym podzielał jego zdanie. To ludzkie i zrozumiałe. Przyjemniej jest zmierzyć się z nadciągającą katastrofą razem. W pojedynkę wszystko jest trudniejsze i bardziej szare, dotyczy to także końca świata. No i nikt inny nie chce tego słuchać, a pastor w parafii ma taki obowiązek.

– Nadzieję można w sobie wyrobić – oświadczam.

– Ale po co?

– Między innymi dlatego, że dzięki niej możemy dzisiaj robić, co w naszej mocy, dla innych i dla samych siebie.

– Między innymi?

– Nie znam wszystkich odpowiedzi.

– Niedługo powiesz, że Bóg zna wszystkie odpowiedzi.

– To zależy w dużej mierze od tego, co się o tym sądzi.

Nasz czas już się kończy.

– Właśnie to próbuję powiedzieć.

– Mam na myśli nasze spotkanie. Zbliży się szesnasta.

– Ja dopiero zacząłem.

– Każdy ma do dyspozycji tyle samo czasu – mówię i dla pewności dodaję: – Podczas tych spotkań.

Duża wskazówka zegara wiszącego nad drzwiami przeskakuje na dwunastkę i drży, jakby sama się przestraszyła

swojej długiej sylwetki. Mała wskazuje czwórkę. Mężczyzna ani drgnie. Na jego wargach zawisło pytanie. Widzę je, zanim on zdąży otworzyć usta.

– Co myślisz o meteorycie? – pyta.

Sześć dni. Sześć dób wypełnionych meteorytem. Sześć dni i nocy, podczas których żaden z mieszkańców wioski nie mówił o niczym innym. Meteoryt to, meteoryt tamto.

– Nie myślę o nim za dużo – odpowiadam.

To prawda. Mimo że należę do wiejskiej komisji, która ma za zadanie pilnować Muzeum Wojska, ponieważ meteoryt pozostanie tam jeszcze przez kilka dni, a potem pojedzie do Helsinek, stamtąd do Londynu i do Laboratorium Kosmicznego, gdzie go zbadają. Mieszkańcy postanowili trzymać wartę na ochotnika, bo wsi nie stać na zatrudnienie agencji ochroniarskiej, a najbliższy posterunek policji jest w Joensuu oddalonym o dziewięćdziesiąt kilometrów. Ja trzymałem wartę przez jedną noc, ale wtedy także nie myślałem o meteorycie. Przez pół godziny czytałem Biblię, a potem powieść Jamesa Ellroya.

– On spadł z nieba – mówi mężczyzna.

– Zwykle stamtąd spadają.

– Z nieba.

– Właśnie.

– Od Boga.

– Powiedziałbym raczej, że z kosmosu.

– Nie mogę cię rozgryźć.

Ewolucja mnie tak ukształtowała, myślę, ale mu tego nie powiem. Nie chcę przedłużać spotkania.

– Jest szesnasta.

– Tarvainen mówi, że meteoryt należy do niego.

Połowa mieszkańców wsi jest zdania, że meteoryt jest ich własnością. Tarvainen jeździ samochodem Jokinen na benzynie Eskoli i dzwoni z domu Liesmaa po Ojanperę, który przychodzi razem z Vihinenem, a ten ma firmę transportową Kuljetuspalvelu Vihinen & Laitakari, którą zarządza Laitakari, ale która jest w połowie własnością Paavoli. I tak dalej.

– Już naprawdę...

– Podobno jest wart milion.

– Bardzo prawdopodobne – przyznaję. – Jeżeli się okaże, że to tak rzadki okaz, jak się podejrzewa.

Mężczyzna wstaje. Idzie w stronę drzwi z takim wahaniem, że wstrzymuję oddech. Dociera do progu, kładzie rękę na klamce.

– Nie zdążyłem powiedzieć o drugiej fazie eboli.

– Z Panem Bogiem.

Gdy zostaję sam, podnoszę żaluzje. Ciemność za oknami przypomina wodę, jest tak gęsta, że można w niej zanurkować. Przez cały dzień wysłuchiwałem ludzi i każdy wspominał o dziecku.

Przez pewien czas miałem spokój.

Z tą wielką tajemnicą.

W jej kontekście kontrowersja wydaje się zbyt słabym określeniem.

W związku ze swoją pracą dowiaduję się o tajemnicach i sam także noszę w sobie tak wielką, że większej nie potrafię już sobie wyobrazić. Lecz nadal nie umiem powiedzieć Kriście, jak sprawa wygląda w rzeczywistości. Nie żeby któreś z nas

zapomniało, że podczas misji w Afganistanie nastąpiłem na minę, domowej roboty bombę wypełnioną gwoździami. Ale nie wspominałem Kriście, że w wyniku tego wypadku nie mogę mieć dzieci. I chociaż wszystko na zewnątrz działa i wygląda tak, jak powinno, w połączeniach zreperowanych przez chirurgów jest przerwa. Stała, nieuleczalna, nie do skorygowania.

Krista.

Siedem lat wspólnego życia.

Krista, która zawsze troszczyła się o mnie na wszelkie sposoby i robi to nadal.

Jej największym marzeniem jest rodzina: mieliśmy ją powiększyć po moim powrocie z wojska, gdzie służyłem jako kapelan.

Początkowo unikałem rozmowy o tym, ponieważ czułem się, jakby znów groziła mi eksplozja. Z tamtej ocalałem, ale nie wiem, czy udałoby mi się wyjść cało z drugiej. Ponadto czas mija i wysadzenie nowej miny wydaje mi się coraz trudniejsze. O tej pierwszej już prawie nie pamiętam. Nowy wybuch postawiłby nas w punkcie wyjścia. Prawdopodobnie cofnęlibyśmy się jeszcze dalej, do sytuacji, w której kiedyś się znajdowałem. Do życia bez Kristy.

O czymś takim nawet nie chcę myśleć.

Mam oczywiście także drugą tajemnicę. Zwątpienie. Bo jaki Bóg uważa, że to zło, które widziałem, jest dobre, i na nie pozwala. Pytam o to Boga, dobrze rozumiejąc paradoks kryjący się w moim działaniu.

Ale Bóg milczy.

Zmieniam buty do biegania na zimowe, wkładam

puchową kurtkę, owijam szyję czerwonym grubym szalikiem, naciągam czapkę na głowę, biorę rękawiczki i wychodzę. Zmrożony śnieg skrzypi, gdy idę przez środek wsi. Motel Pipsy, market K, stacja benzynowa Teboil, Golden Moon Night Club, market S, sklep z ciuchami Hurme, Bar Lassego, bank Osuuspankki, warsztat samochodowy Hirvosen Pelti i salon masażu tajskiego Pleasure Island. Na samym końcu pustej głównej ulicy znajduje się urząd gminy i Muzeum Wojska. Na muzealnym parkingu znów widać samochody z włączonymi silnikami, a ich tylne czerwone światła przywodzą na myśl wiecznie przypatrujące się oczy. Ogarnięci meteorytowym szaleństwem wieśniacy. I oczywiście członkowie wiejskiej komisji.

Już mam skręcić na drogę, przy której stoi nasz dom, gdy przypominam sobie wczorajsze niecisłości związane z przydziałem warty.

Zmierzam wprost ku muzeum. Naprzeciwko mnie jedzie duża terenówka, w której siedzą dwaj mężczyźni. Kierowca jest niski, bez czapki, a o pasażerze wystarczy powiedzieć, że to olbrzym – wypełnia sobą całą połówkę przedniej części pojazdu. Samochód ma rosyjską rejestrację i rozrzuca spadły w ciągu dnia świeży śnieg, który moczy mi prawą stronę twarzy.

Na parkingu naradza się czterech mężczyzn. Już z daleka ich rozpoznaję. Jokinen to kupiec, którego zdolności zaopatrzeniowe budzą we mnie zdziwienie. Czasami mam wrażenie, że jogurty w jego sklepie pochodzą z jakiegoś innego źródła niż z hurtowni, a sprzedawane przez niego mięso wydaje się znacznie świeższe w porównaniu z tym, które do

tej pory kupowałem w markecie. Turunmaa, rolnik, uprawia ziemniaki i brukiew, hoduje też sielawy i posiada tak dużo terenów leśnych, że mógłby na nich założyć własne państwo. Rästäinen to zarówno mechanik, jak i właściciel wiejskiej siłowni. Pasjami zajmuje się budowaniem masy mięśniowej i żąda, abym ja także zapisał się do niego i zaczął ćwiczyć na poważnie. Podobno mam barki jak trzeba i właściwie grama tłuszczu do spalenia. Himanka, emeryt, sprawia wrażenie tak starego i kruchej, że nie wiem, czy w ogóle powinien wychodzić z domu przy dwudziestodwustopniowym mrozie.

Na mój widok grupka milknie.

– Joel – wita mnie Turunmaa ubrany w skórzany płaszcz i futrzaną czapkę. Pozostali mają na sobie puchowe kurtki i wełniane czapki. Jak zwykle dyskusji przewodzi Turunmaa.
– Przeprowadzamy tutaj małą naradę.

– Na jaki temat?

– Kto obejmie wartę tej nocy – mówi Rästäinen.

Znów zapada milczenie. Spoglądam najpierw na Jokinena, a ten oświadcza:

– Muszę zadzwonić przez Skype’a do córki w Ameryce.

– Co?! – krzyczy Himanka, trzęsąc się z zimna.

Turunmaa, na którego patrzę, mówi:

– Obstawiłem zakłady u bukmachera. Chcę obejrzeć mecz.

– Teraz są te dni – stwierdza Rästäinen. Ma zaskakująco młodą żonę i oboje zajmują się tym, o czym marzy Krista, czynnościami zmierzającymi do powiększenia rodziny. Wiem to, ponieważ Rästäinen mi opowiadał, i to dość szczegółowo.

Himanki nawet nie biorę pod uwagę.

– Mogę wziąć tę noc – proponuję.

BUDYNKI PRZY DRODZE STOJĄ w dość dużej odległości od siebie i w prawie każdym pali się światło. Tutaj ludzie wracają do domu wcześniej. W Helsinkach światła zapalają się po szóstej, a tutaj już po trzeciej. Tym razem nadjeżdżający z naprzeciwka samochód prowadzi osoba, którą rozpoznaję. Ta ciemnowłosa kobieta śpiewa czasem w klubie Golden Moon. Jak zwykle rzuca mi spojrzenie, nie jest ono specjalnie ciepłe. Właściwie świadczy o tym, że stoję jej na drodze. Kobieta pali papierosa i rozmawia z mężczyzną siedzącym obok. Po chwili mijają mnie, kierując się w stronę muzeum.

Skręcam na skrzyżowaniu, widzę już światła, maszeruję jeszcze ze cztery minuty i wchodzę na podwórko.

Żeby strząsnąć śnieg z butów, tupię na betonowych schodach wynajętego przez nas domu jednorodzinnego, otwieram drzwi i czuję zapach gołąbków. Zrzucam obuwie, ściągam okrycie wierzchnie i wchodzę do środka.

Krista jest w kuchni, stoi plecami do mnie; przygotowuje jedzenie, podobnie jak niezliczone razy wcześniej. Miłość mojego życia – przychodzi mi od razu na myśl – co by było ze mną, gdybym nie miał ciebie. Myśl ta odbija się echem i krąży mi po głowie coraz bardziej znajomo, zwłaszcza ostatnimi czasy.

Obejmuję żonę, wtulam nos w jej gęste brązowe włosy i wciągam jej zapach głęboko w płuca. Widzę długie smukłe palce nad deską do krojenia, prawą rękę trzymającą czerwony pomidor, a lewą czysty lśniący nóż.

- Będę miał nocną wartę – mówię.
- Jestem w ciąży – odpowiada Krista.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).